

„Miłość” pasożytnicza

Szanowni Państwo. Choć projekty ustaw o związkach partnerskich zostały już jakiś czas temu odrzucone przez Sejm, to jednak w tle bieżących spraw aktualnie absorbujących media nie milkną dyskusje na temat ewentualnych skutków społecznych, jakie przyjęcie tych projektów mogłoby wywołać. Wielu, i słusznie, widzi w tych projektach próbę zainicjowania rewolucji obyczajowej otwierającej furtkę prowadzącą między innymi do prawnego usankcjonowania związków homoseksualnych i nadania im przywilejów, które obecnie konstytucja gwarantuje małżeństwu. Taka perspektywa to oczywiście jeden z kluczowych celów, które stawiają przed sobą środowiska homoseksualnych aktywistów, choć – powiedzmy to szczerze – cel jedynie pośredni. Ostatecznie chodzi bowiem o znacznie więcej – o przededefiniowanie pojęcia rodziny i uzyskanie prawnej możliwości adoptowania dzieci przez pary homoseksualne. Fakt ten bardzo dosadnie skomentował w jednym ze swych publicznych wystąpień Michał Karnowski. „Możemy zobaczyć co zrobiono na zachodzie – stwierdził – zaczynano pod takimi samymi hasłami. Biedne pary, bo żyją w związkach nierejestrowanych, mają problemy, a przy okazji homoseksualiści, i tak dalej. A czym się kończy? Dzieci dla gejów, jak wołał jakiś czas temu *Newsweek* [...]. Jak długo będziemy żyli? Czy my przeżyjemy nasze dzieci, czy nasze dzieci nas przeżyją? Zawsze [...] może się okazać, że sytuacja, w której nasze dzieci mogą być przez kogoś adoptowane jest realna. I po prostu nie może być zgody na potencjalną, opcjonalną możliwość adoptowania obcego dziecka przez dwóch homoseksualistów [...]. Nie mamy żadnego prawa, żeby w imieniu tych dzieci się na to zgadzać [...]. Przykład zachodu pokazuje, że mamy do czynienia z zasadą ruchomego horyzontu: nie ma granicy tych żądań. W związku z tym postawmy tamę na pierwszym progu”. Tyle Michał Karnowski. Właściwie nie ma czego tu komentować. Diagnoza jasna, mocno postawiona, niewątpliwie w paru punktach może być dyskusyjna, ale precyzyjnie pokazuje istotę problemu. Mnie jednak dziś, powiem szczerze, frapuje jeszcze coś innego. Otóż śledząc dyskusję wokół związków partnerskich i ewentualnych konsekwencji ich prawnego usankcjonowania, kilkakrotnie napotykałem na argument formułowany przez zwolenników owych związków, że oto w gruncie rzeczy nie walczą oni o nic innego, jak tylko o zabezpieczenie ich prawa do miłości. Ładnie powiedziane. Nie rozumiem tylko, w czym miałyby przejawiać się zagrożenie owego prawa, że musi być ono tak zabezpieczone. No i przede wszystkim pojawia się pytanie, o samo to prawo. Do miłości, czyli do czego?

Szanowni Państwo, w tradycji chrześcijańskiej miłość definiowana jest bardzo wyraźnie. To postawa posiadania siebie w dawaniu siebie. Postawa, która zakłada, że dysponując sobą w sposób wolny, niejako ograniczam samego siebie, czyniąc siebie darem dla drugiej osoby, ofiarując jej siebie i wydając w pewien sposób do dyspozycji; to samoograniczenie nie jest jednak zubożeniem, ale wzbogaceniem siebie w osobie, dla której cały się staje, cały istnieję – można powiedzieć, proegzystuję. To w drugiej osobie – i tylko przez bezinteresowny dar z siebie – moje „ja” niejako transcenduje, przekracza siebie, i paradoksalnie, tracąc siebie dla drugiej osoby, w niej jeszcze pełniej siebie odnajduje. Taka

miłość to jednak nie uczucie, choć uczucia zakochania, zauroczenia życzliwości lub inne jeszcze mogą i powinny jej towarzyszyć. Taka miłość, to decyzja woli, to postawa organizująca fundamentalne nastawienie życiowe i spełniająca się w całkowitym, oblubieńczym wydaniu się Bogu i człowiekowi. Taka miłość – tradycja chrześcijańska określa ją pojęciem *agape* – nie szuka rozpaczliwie żadnych zabezpieczeń, ponieważ z natury jest nastawiona na utratę; jest gotowa dla dobra drugiego stracić siebie, zrezygnować z własnych pragnień i to właśnie jest jej bogactwem. Jest bowiem wolna w dawaniu i w dawaniu najbardziej się wzbogaca. Mimo wszystko sądzę jednak, że nie taką miłość mają na myśli poszukujący zabezpieczeń zwolennicy związków partnerskich. A jaką mają na myśli? Nie chcę tego oceniać. Mam jednak poczucie, że ich postulaty przypominają w pewien sposób sztuczne maski z napisem miłość, które aktorzy greckiej tragedii nakładali, aby zakryć swe prawdziwe oblicza. Co jednak pozostanie gdy opadną maski? I znów, mam nieodparte wrażenie, że coś, co tyle wspólnego ma z miłością, ile rzeczywistość następująco zdefiniowana swego czasu przez Fryderyka Nietzschego, który pisał: „Miłość jest subtelnym pasożytem, jest niebezpiecznym i niegrzecznym zagnieżdżeniem się jednej duszy w innej duszy – niekiedy także w ciele – niestety, kosztem gospodarza”¹. Gdy czytam te słowa, rozumiem wstręt Nietzschego do miłości, choć z miłością ma to coś tyle wspólnego, ile zakupy w supermarkecie z rodzinnym świętowaniem niedzieli. Rozumiem też, że prawo do takiej *quasi*-miłości trzeba sobie zabezpieczyć. Wszak nikt zazwyczaj nie chce, żeby zagnieżdził się w nim jakiś pasożyt, natomiast skłonność do pasożytowania na innych jest jedną z bardziej obrzydliwych przywar nękających ludzkość. Szkoda tylko, że to, co na poziomie ludzkiego organizmu medycyna zwalcza jako chorobę, na poziomie społecznym część polskiego parlamentu, przy wsparciu grupy medialnych celebrytów, próbowała wprowadzać jako normę. Na szczęście nieskutecznie. Tym razem.

¹ Cyt. za: G. Reale, *Mądrość antyczna lekarstwem na zło nękające współczesnego człowieka*, w: „Ethos”, 56 (2001), s. 16–17.